CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 122 12 X 1989 r. Cena 110 zł

We wrześniu w Teatrze na Wyspie w warszawskich Łazienkach wystąpił ormiański ludowy dziecięcy zespół tańca. Relację z tego występu zamieszczamy na str. 5.

DZIŚ DZIEŃ WOJSKA POLSKIEGO

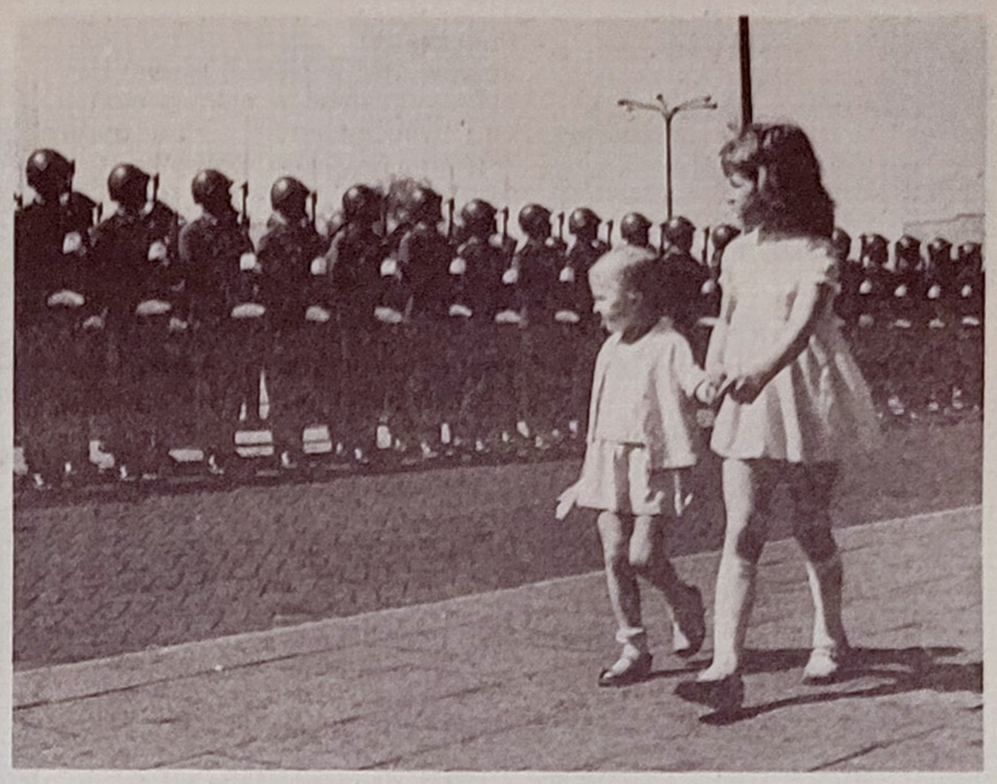

Za mundurem panny sznurem – mówi przysłowie, ale tu należałoby powiedzieć: przed mundurem. Dwie młode osóbki z wdziękiem odbierają defiladowe honory... Ten pogodny obrazek dedykujemy naszym żołnierzom w dniu ich święta... **(tok)** Fot. **M. Szymański**

Co to? Mały, automatyczny aparat fotograficzny? „Jednooka" lornetka? Nowoczesny kalejdoskop? Urządzenie do badania wzroku? Nie. To mały dalmierz laserowy. Pozwala on zmierzyć odległość przedmiotów znajdujących się nie bliżej niż 80 m i nie dalej niż 9 km od obserwatora z dokładnością do 5 m. Jest to urządzenie bateryjne. Po jednorazowym jego naładowaniu można dokonać około 500 pomiarów. Waży 850 g. Przeznaczone jest dla geodetów, załóg jachtów, myśliwych, alpinistów. Pracuje w temperaturach od –30 do +45°C. Zostało wyprodukowane w jednym z chińskich instytutów techniki fizycznej i zaprezentowane w Polsce podczas „Dni Chińskiej Nauki i Techniki", jakie we wrześniu odbyły się w PKiN w Warszawie i z których niebawem zdamy obszerną relację. **(tok)**

JAK DALEKO?

Zdrowiu może nie służą lecz służą... kulturze

Podobno pod względem wpływu na nasze zdrowie fajka zdecydowanie wygrywa z papierosem. Mówi się, że jest zdrowsza. Czy naprawdę? Niektórzy twierdzą, że fajka tak samo szkodzi tylko na trochę co innego, niż papieros. Nie wnikając w te medyczne kwestie, możemy stwierdzić, że ma ona jedną nad papierosem przewagę: jest trwalsza jako przedmiot. Po papierosach pozostają co najwyżej dość stereotypowe opakowania. Natomiast fajki, dzięki trwałości materiału, z jakiego się składają, mogą stanowić wdzięczne obiekty dla zbieracza.

Diament z... sadzy

Kiedyś uważano, że diamenty są minerałami naturalnymi, że powstały w głębi ziemi... z węgla. I przeświadczenie to prawdziwe jest również dziś. Najcenniejsze okazy wydobywa się w kopalniach diamentów. Stosunkowo niedawno opracowano metodę sztucznego wytwarzania diamentów stosując bardzo wysokie temperatury i ciśnienia. Okazuje się, że dziś można otrzymać diamenty w jeszcze prostszy sposób. Naukowcy z Instytutu Chemii Fizycznej Akademii Nauk ZSRR opracowali technologię wytwarzania proszku diamentowego z... sadzy, stosując niskie ciśnienia. Sadze przepuszcza się przez wiązkę laserową a następnie gwałtownie ochładza. Efektem tej operacji jest powstanie proszku diamentowego i grafitu. Proszek diamentowy, po oddzieleniu od grafitu, może być stosowany w przemyśle jako supertwardy materiał ścierny.

Co to jest? Budowa rurociągu, w której uczestniczą tysiące robotników? Pielgrzymka? Nie, ci ludzie nigdzie nie podążają, tylko stoją i jedzą! Znaleźli się bowiem przy najdłuższym bufecie świata, urządzonym w Alpach Szwajcarskich. Jasna wstęga – to długi szereg nakrytych i suto zastawionych stołów. Jak wyliczono, ci wycieczkowicze, którzy przy nich zasiedli lub obok nich stanęli, zjedli 350 kg chleba, 200 kg wędlin, popijając to dwoma tysiącami litrów kawy. Cóż, górskie powietrze apetytom sprzyja...
Fot. **CAF**

UŚMIECH NUMERU

PANI WYCHOWAWCZYNI złości się na Mądralę:
– Dlaczego znów się spóźniłeś?!
– Bo miałem iść na ryby i tata mi nie pozwolił...
– I bardzo dobrze! Na pewno ci powiedział, że nie wolno opuszczać lekcji..?
– Nie! Powiedział, że na dwóch nie wystarczy robaków...

★

BABCIA Mądralowa do dziadka Mądrali:
– Może byśmy poszli do kina..?
– Przecież dopiero co byliśmy!
– Ale od tamtego razu wynaleziono już kino dźwiękowe..!

Szlakami SZARYCH SZEREGÓW po Warszawie (14)

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

20) **Szpital Jana Bożego** przy ulicy Bonifraterskiej.

Miejsce to dwukrotnie było widownią śmiałych harcerskich akcji, mających na celu uwolnienie przetrzymywanych tam więźniów. Szpital przeznaczony był w zasadzie dla umysłowo chorych, ale z powodu przepełnienia szpitala więziennego na Pawiaku zajęto część pomieszczeń właśnie u Jana Bożego i pod policyjną strażą leczono tu chorych i rannych więźniów.

Pod koniec kwietnia 1944 r. po dramatycznym pościgu został ranny i wpadł w ręce Niemców jeden z najlepszych żołnierzy III plutonu „Parasola" – „As" (Benedykt Sylwestrowicz).

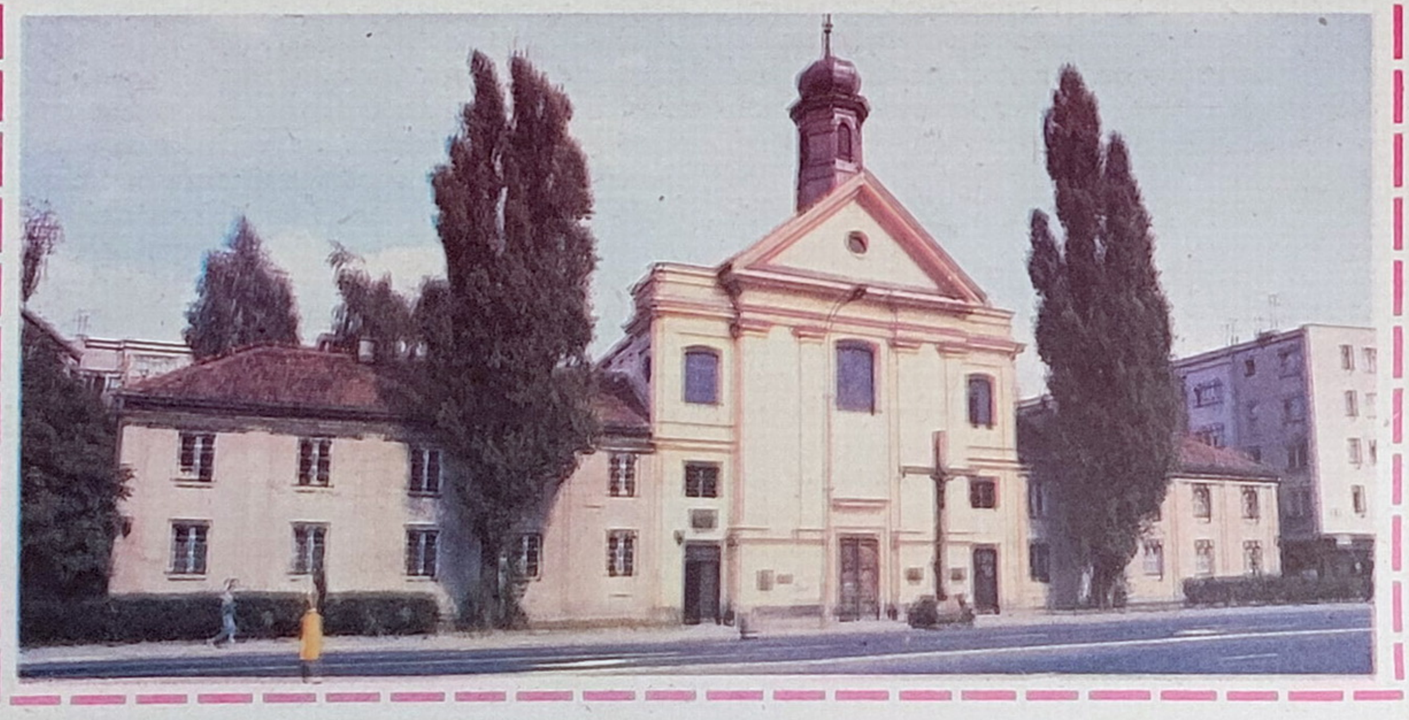

Było lato, był obóz...

Z WYSOKOŚCI KULBAKI

Po wielu tarapatach, w drugiej połowie sierpnia 2 Gdyńska Drużyna Jeździecka pod dowództwem pwd Henryka Bubicza stanęła obozem na łące przylegającej do północnego brzegu Jeziora Sztynorckiego. Jedyny harcerski obóz pośród licznych żeglarzy ze Śląska, jeźdźców z Warszawy oraz innych turystów mazurskich szlaków.

Rozkład dnia według najlepszych tradycyjnych zwyczajów: gimnastyka, apele mundurowe, czytanie rozkazów, codzienne podnoszenie flagi. To wszystko zadziwiało i zachwycało wielu tubylców i sztynorckich gości, ale dla niektórych stanowiło temat do kpin i żartów. Nasi harcerze dzielnie znosili tego rodzaju przeciwności i szczerze współczuli „złotej młodzieży", zaczynającej dzień od leczenia kaca.

Harcerskie amazonki i kawalerzyści rozpoczynali galopady po padoku już od godziny 6 rano. Podczas panujących tego lata upałów (36° w cieniu) trudno by było wytrzymać w pełnym słońcu i temu na siodle, i temu pod siodłem. Stąd ta wczesna godzina pobudki. Druh obożny Jacek przymykał oko, widząc dosypiających po jeździe w zaciszu namiotów.

Jeśli nie posiada się własnych wierzchowców, jeździectwo to bardzo drogi sport na harcerską kieszeń. Mimo wydajnej pomocy finansowej gdyńskiej oświaty i władz rozwoju sportu, opłaty wynoszące 3 tysiące złotych za godzinę jazdy były ponad możliwości uczestników obozu. Ale gdyńscy harcerze ze szczepu „Bryza" mają w Sztynorcie starych, wypróbowanych przyjaciół, którym zaimponowali swą postawą już podczas lutowego zimowiska. Instruktor jazdy Maciek Westfalewicz znalazł więc wyjście: zaproponował pracę za „bajońskie sumy". Zwózka słomy z pola, porządkowanie terenu, naprawa uprzęży i inne czynności stajenne to niełatwa robota. Ale gdy jest się członkiem drużyny jeździeckiej i kocha się konie, wszystko można „przeskoczyć". Po największych nawet trudach świat oglądany z wysokości kulbaki nabiera szczególnego uroku.

Drużyna obsługiwała również zawody hippiczne w Sztynorcie, prezentując przy okazji umundurowanie harcerskiego jeździectwa. Okazjonalna plakietka 2 GDHJ stała się modnym suwenirem sztynorckiego końskiego lata, pilnie poszukiwanym nie tylko przez miłośników koni.

Były jeszcze jazdy w zaprzęgu, podziwianie okolic z pędzącej po

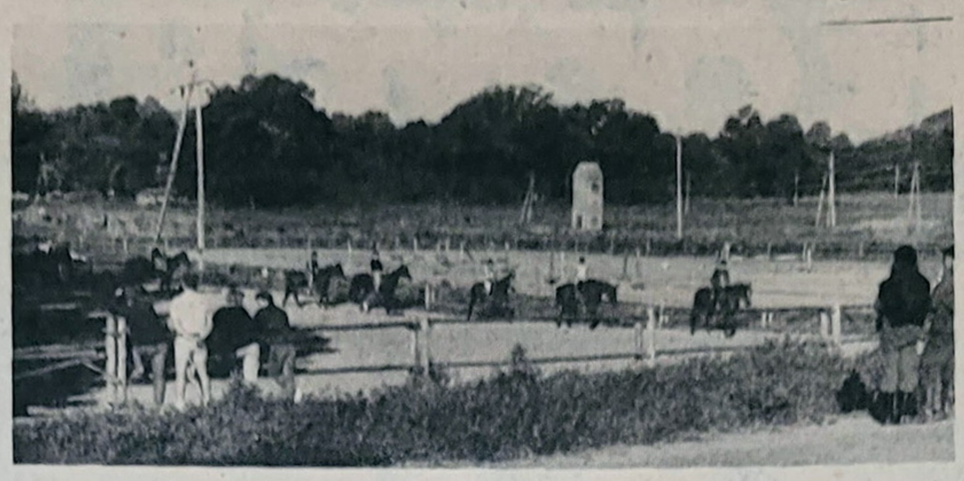

wertepach parokonnej bryki. W końcu nadeszła chwila najważniejsza, niezapomniany wieczór – Harcerskie Przyrzeczenie. Składane w tej drużynie tradycyjnie już z konia na stanowiącą skarb drużyny szablę, której głownię zdobi inskrypcja z najpiękniejszą ideą – „Czuwaj".

Nie wszyscy pozostaną w drużynie: dla niektórych trudy uczestnictwa w jeździeckiej są ponad siły. Szkoda, bo już na pożegnalnym ognisku planowano zimowisko.

Na koń! Do zobaczenia w Sztynorcie.

hm Jerzy Tyszko
Fot. **Robert Tyszko**

Z MALUCHAMI

Nie mogłam się doczekać tego obozu. Po raz pierwszy wyjeżdżałam nie z grupą swoich rówieśników, a z harcerzami młodszymi o kilka lat. Byłam ciekawa, jak będą zachowywać się z dala od domu ci, których – jako że należeliśmy do jednej drużyny – znałam ze wspólnych spotkań, zbiórek i ognisk. Wyjazd taki to przecież sprawdzian zaradności i samodzielności, zwłaszcza dla tych, którzy rzadko lub po raz pierwszy opuszczają rodzinne progi. Miał to być także sprawdzian dla mnie i mojej koleżanki Marii: czy potrafimy być drugimi mamami, służącymi radą, pocieszającymi, kiedy smutno i źle. Bardzo chciałyśmy pomóc drużynowej, mającej przecież tyle spraw na głowie. A więc dwa tygodnie pobytu na obozie w NRD przed nami...

Znaleźliśmy się w samym sercu gór. Neuwer leży w przepięknej okolicy. Ach, te skały, las – byliśmy wprost urzeczeni. Dlatego po krótkim tylko odpoczynku ruszyliśmy na poznawanie terenu.

Mijały kolejne dni. Wykorzystywaliśmy dosłownie każdą chwilę. Ciągle byliśmy w ruchu: to wędrowaliśmy na zaporę, to nad Błękitne Jeziorko, do jaskini albo po prostu przed siebie. Tam, dokąd nie sposób było dojść na piechotę, jeździliśmy autokarem lub pociągiem. To wszystko było możliwe dzięki naszej tłumaczce ze strony niemieckiej, kochanej pani Ricie, która znała świetnie te tereny i, co najważniejsze, bardzo chciała je nam pokazać. Oj, mieliśmy w nogach sporo kilometrów! Ja, stary rajdowiec, nie odczuwałam tego tak bardzo, ale młodsze dziewczynki i chłopcy na pewno często byli zmęczeni. Nie pisnęli jednak o tym nigdy ani słówka!

Jak ja ich wszystkich polubiłam! To nic, że w sklepie nie mogłam myśleć o swoich zakupach, bo prosiłam to o znaczki dla Sławka, to o pieska dla Uli. To nic, że ciągle musiałam uważać, aby nikt nie wyszedł na jezdnię, aby każdy zjadł na śniadanie przynajmniej trochę. Że trzeba było biec z pomocą, kiedy Magdę zabolało gardło, Ewę – głowa, a kogoś innego ząb, drużynowa zaś była akurat na zebraniu. Że często trzeba też było doradzić, w co się ubrać na wycieczkę, rozsądzić, kto miał rację albo pocałować na dobranoc, pomóc przy myciu i praniu. Jak to dobrze, że robiłyśmy to wszystko wraz z Marią i naszą tłumaczką Dorotą z radością i wielką chęcią!

Często wieczorami siadaliśmy razem i przy dźwiękach gitary śpiewaliśmy nasze harcerskie piosenki. Niemcy nie mogli uwierzyć, że można się tak wesoło bawić. Dziwili się, że znamy tyle piosenek, zabaw, pląsów. Uczestniczyli w nich bardzo chętnie, a nawet próbowali z nami śpiewać. A kiedy na zakończenie turnusu wszystkim niemieckim dzieciom i całej kadrze wręczyliśmy drobne upominki, radość była wielka.

Niemieckie kierownictwo oceniło, że nasza „Knieja" wraz z drużyną z Puław to najbardziej zdyscyplinowana grupa w ośrodku. Podobno uważano nas też za duszę obozu. A to wszystko dzięki temu, że nie byliśmy przypadkową grupą osób, często nie umiejącą się ze sobą dogadać, ale jedną harcerską rodziną, w której łatwo było utrzymać zgodę, w której wszyscy się znali i lubili. Cieszymy się, że nasze szare i zielone mundury kadra niemiecka zapamięta z dobrej strony!

Marzy mi się jeszcze jeden wspólny wyjazd. Może za rok, może za dwa? No tak, ale wtedy oni nie będą już takimi małymi szkrabami, których trzeba pilnować i stale im o wszystkim przypominać. Zresztą – przecież i teraz pokazali, że potrafią sobie poradzić, że mogą być harcerzami!

Wkrótce będzie zbiórka, a więc znowu się spotkamy...

Anna Kossowska
korespondentka HSI „ŚM"

Rannego umieścili Niemcy pod strażą w oddziale więziennym Szpitala Jana Bożego. Natychmiast powstał plan uwolnienia „Asa". Postanowiono użyć podstępu: by bez wzbudzenia podejrzeń przedostać się przez bramę i wartownię oraz z zaskoczenia rozbroić policjantów, harcerze uczestniczący w akcji mieli zainscenizować przywiezienie do szpitala rannego więźnia, podając się za... Gestapo.

Nad ranem 30 kwietnia pod szpital zajechały dwa samochody osobowe i karetka pogotowia. Wysiadło z nich kilku „gestapowców", kilku „cywilnych wywiadowców Kripo", a z karetki „noszowi" wynieśli „ciężko rannego bandytę". Jeden z „gestapowców" kazał wartownikowi natychmiast zawołać komendanta straży, a temu z kolei polecił natychmiastowe przyjęcie „rannego bandyty" i przygotowanie operacji. Nie podejrzewający niczego policjanci wprowadzili przybyszów na I piętro, gdzie była sala operacyjna i gdzie – według doniesień wywiadu – trzymany był „As". Jakież było ich zdziwienie, gdy na dany znak „gestapowcy", „noszowi" a nawet „ciężko ranny bandyta" zgodnie wyciągnęli broń terroryzując strażników i obsługę szpitala. W tym samym czasie pozostawieni na dole „agenci" rozbroili załogę wartowni. Teraz już bez przeszkód odnaleziono „Asa" i przetransportowano go do karetki. Przy okazji uwolniono kilka innych osób. Tę brawurową i bardzo pomysłową akcję przeprowadzili koledzy „Asa", harcerze z III plutonu „Parasola" pod dowództwem „Maryli" (Stefana Pakuły).

21) W niespełna dwa miesiące później, w samo południe 29 czerwca 1944 r. inny oddział harcerski, tym razem z batalionu „Zośka", przeprowadził następną udaną akcję uwalniając tym razem wszystkich przetrzymywanych w tym samym szpitalu więźniów politycznych. Do akcji doszło po otrzymaniu sygnału, iż Niemcy planują likwidację więziennej części szpitala i przeniesienie przetrzymywanych na Pawiak.

Dziesięcioosobowa grupa harcerzy I plutonu kompanii „Maciek" pod dowództwem „Tadzia Żoliborskiego" (Tadeusza Huskowskiego), pozostawiając dwa samochody na ulicy Sapieżyńskiej i rozstawiwszy ubezpieczenie, dostaje się do szpitala przez budynek administracyjny. Ze szpitalnego podwórza za pomocą długiej drabiny harcerze przedostają się na wewnętrzne podwórko więzienne, terroryzując jednocześnie znajdujących się tam strażników. Wewnętrzną klatką schodową wchodzą do pomieszczeń więzienno-szpitalnych, gdzie rozbrajają pozostałych, niczego się nie spodziewających policjantów. Więźniowie zostają bez przeszkód sprowadzeni na dół. Ponieważ żaden z policjantów nie przyznaje się do posiadania klucza od bramy, jeden z chłopców odrywa kilka desek z parkanu i tą dziurą chorzy wychodzą na ulicę Sapieżyńską, gdzie czekają na nich samochód ciężarowy i półciężarówka. Po przebraniu się w pobliskiej bramie w przywiezione przez harcerzy cywilne ubrania, wszyscy wsiadają do samochodów i nie niepokojeni przez nikogo odjeżdżają w kierunku Starego Miasta.

Dziś prowadzony przez zakonnice Szpital Jana Bożego nadal służy swym celom, zaś w jego frontowej części od ul. Bonifraterskiej mieści się apteka leków zagranicznych, pochodzących z darów.

OLGIERD LEWAN
Rys. **autora**
Fot. **Mieczysław Włodarski**

REDAKCYJNA POCZTA

Nie jestem zadowolona z rodziców.

Mam 13 lat. Jestem ciemną szatynką o niebieskich oczach. W klasie jestem lubiana, mam miłe koleżanki i kolegów. Mam brata, któremu mówię o swoich kłopotach. Nigdy się na nim nie zawiodłam. Ale nie o tym chcę pisać, lecz o swoich rodzicach.

Moje koleżanki uważają, że mam wspaniałych rodziców, a zwłaszcza tatę. Jest to nieprawda. Rodzice wytykają mi przy każdej okazji moje wady. Gdy moja mama pragnie sobie coś kupić chcąc się jakby wytłumaczyć, zawsze mówi, iż ona, kiedy była w moim wieku, nie miała takich rzeczy, jakie ja mam. A przecież świat się zmienia, rok 1956 nie jest rokiem 1989.

Moje koleżanki zwierzają się mamom ze swoich kłopotów. Ja mogę się tylko zwierzyć bratu, który mnie rozumie.

Sabina

Jak pomóc?

Na naszym podwórku jest rodzina pijaków. Dzieckiem z tej rodziny jest moja koleżanka Marlena. Marlena ma 10 lat i często płacze przy bramie mówiąc, że jej tata znów wrócił do domu pijany. Próbowałam ją pocieszyć, ale na nic. Wszędzie ją wyśmiewają i mówią, że jest beksa. Jej mama również pije, jej rodzice przepijają pieniądze i są bardzo biedni. Marlena chodzi brudna i zaniedbana. Chcę jej pomóc, ale nie daję sobie z tym rady.

Zwierzyłam się pani w szkole, ale pani powiedziała, że ma ważniejsze sprawy na głowie i że ja nie powinnam zawracać sobie głowy takimi sprawami. Zwracam się więc z prośbą do Was o pomoc. Może powiecie mi, co mam zrobić, żeby pomóc Marlenie? Napiszcie. Bardzo proszę, wydrukujcie mój list, bo Marlena nie może tak dalej żyć.

Kasia

Chcemy mieć klub w naszym bloku

Mieszkamy w 11-piętrowym wieżowcu, w którym jest 58 pomieszczeń, w tym 56 zamieszkanych przez lokatorów. Te dwa pozostałe pomieszczenia to: pracownia plastyczna i fotograficzna. Koło fotograficzne działa już od dłuższego czasu, lecz do pracowni plastycznej w okresie wakacji nikt nie zagląda, a i w ciągu roku szkolnego zajęcia rzadko się odbywają. I w dodatku na te zajęcia uczęszczają dorośli spoza bloku, a nam nie wolno tam wchodzić nie wiadomo zresztą dlaczego. Na podwórku też dla nas nie ma miejsca (stoi tutaj tylko jedna ławka).

Otóż chcielibyśmy, by z pracowni plastycznej powstał klub, do którego mogłaby uczęszczać młodzież z naszego wieżowca. Klub, w którym odbywałyby się różnego rodzaju zajęcia, spotkania, zabawy itp.

Dlaczego pracownia plastyczna nie może być gdzie indziej! We wszystkich sąsiednich blokach kluby takie istnieją. Prosimy o pomoc, rozpatrzenie naszej sprawy.

Młodzi mieszkańcy
bloku nr 7 przy LWP, Piła

OD REDAKCJI: Waszą prośbę (propozycję!) popieramy całym sercem. Z tą sprawą zwróćcie się do samorządu osiedlowego lub do zespołu społeczno-wychowawczego przy Waszej spółdzielni mieszkaniowej. W negocjacjach (rozmowach) z przedstawicielami spółdzielni powinni Wam pomóc rodzice. Napiszcie, jak sprawa się toczyła i jak została załatwiona. Życzymy pomyślności i oczekujemy na wieści. (bs)

Załatwić z samym sobą

POWRÓT DO JASKIŃ?

Wynurzył się młody osobnik z otworu pieczary, przegrzebał palcami nastroszoną czuprynę, czknął, splunął, przydeptał stopą plwocinę, przeciągnął się i rozejrzał po świecie o poranku. Zaczepił okiem o postać dziewczyny – mocne nogi, nad nimi wymyślnie udrapowana skóra w kształt minispódniczki, długie skołtunione włosy podpięte kościanym grzebieniem. – Mniam-mniam – wydobył z siebie aprobujący dźwięk młodzieniec i zapragnął bliższego kontaktu z pięknością. – Yyy – zawołał, przybierając pełen zainteresowania wyraz oblicza. Piękność obejrzała się, błysnęły jej zęby w przyzwalającym uśmiechu, ale odwróciła się. Owszem, jest skłonna przypuścić go do towarzystwa, jednak nie tak od razu, nie nadto skwapliwie. No więc stoi odwrócona plecami, ale zerka przez ramię, nie tracąc z oczu atrakcyjnej zdobyczy.

On rozumie, co jest grane. Spluwa zalotnie i zręcznie na imponującą odległość napina demonstracyjnie potężne mięśnie ramion i przywołuje wybrankę kiwaniem palca. Ona chwilę zwleka, więc on ją ponagla: – Yyy! – Ona podchodzi, on kładzie dłoń na jej karku we władczym geście posiadacza. Siadają razem na zwalonym pniu. Idylla. Liryczny obrazek w porannym słońcu.

Wyszedł młody osobnik z drzwi klatki schodowej wielkiego miejskiego bloku, dotknął palcami ostrożnie nastroszonej czupryny, sprawdzając, czy sterczy jak należy. Splunął z wdziękiem, przeciągnął się, przydeptał stopą plwocinę, rozejrzał się po porannym świecie i ruszył do przystanku, bo czas już był najwyższy do szkoły. Przed nim idzie dziewczyna. Długie nogi, nad nimi minispódniczka z czarnej, lśniącej skóry. W bujnych, splątanych włosach stroik z przezroczystej barwnej tkaniny. – Mniam-mniam – mlasnął łakomie z aprobatą i zapragnął nawiązać bliższy kontakt z pięknością.

Czekają na autobus. On pali papierosa i wpatruje się w nią wymownie. Ona uśmiecha się przyzwalająco, ale odwraca się, żeby nie tak od razu, dać się poderwać. Nie traci go jednak z oczu. On wypluwa niedopałek na chodnik i przydeptuje go. To udany ruch – można zademonstrować dyskretnie adidasy za 100 tys. złotych z okładem. Ona jednym spojrzeniem ocenia obuwie, zgrabne dziury na jego spodniach, fryzurę postawioną na białko i zbliża się o krok. Nadjeżdża autobus. Wsiadają. Ona przecina bilet, on nie – gra z MZK w złapią, nie złapią. On siada, ona nie ma gdzie. On jest zadowolony – zajął dobrą pozycję wyjściową zwiększającą szansę na udany podryw. – Eee! – woła. – Mała! – i wykonuje przywołujący ruch głową. Ona podchodzi. On wskazuje zapraszającym gestem swoje kolana. Ona chichocze i siada. On władczym gestem kładzie jej dłoń na karku. Idylla. Liryczny obrazek o poranku.

★ ★ ★

Co łączy te dwie scenki? Są niemal identyczne, tyle że czas akcji jednej i drugiej dzielą tysiące lat, jakie ubiegły od epoki jaskiniowej po dzień dzisiejszy. Przez te wszystkie lata uczyliśmy się – my, ludzie – objawiać swe uczucia w słowie i geście. Sympatię, zachwyt, miłość wyrażaliśmy coraz pełniej, coraz piękniej. Zawarliśmy tajemnicę porozumiewania się ze sobą w setkach tysięcy tomów. Za skarb bezcenny uznaliśmy sonety Petrarki, szekspirowskie postaci Romea i Julii stały się dla nas najpiękniejszym przykładem wyrażania i przeżywania miłości. Miłość – najpiękniejszym uczuciem. Poszukiwanie miłości – wartym zachodu staraniem. No i co? Wszystko to dyrdymały psu na budę. Proponuję złożyć na kupę te liczne dowody rozwoju ludzkich uczuć, talentów, wrażliwości, osiągnięć cywilizacyjnych, związać mocno te wszystkie zbędne głupstwa sznurkiem i wrzucić na dno piwnicy. Do niczego są nam niepotrzebne. Wystarczy nam, jak w pierwszych dniach człowieczeństwa, parę prostych dźwięków i parę prymitywnych gestów. Posługując się jednym rzeczownikiem i jednym czasownikiem umiemy wyrazić absolutnie wszystko. Wystarczy doprawić te dwa słowa odpowiednią intonacją i już możemy okazać zachwyt i oburzenie, zdumienie i irytację, wściekłość i uległość. Przydać czasownikowi parę przedrostków: przy-, od-, za-, s-, w-, by określić każdą czynność.

Jak brzmią te magiczne słowa – wytrychy? Kochani, nie udawajcie naiwnych. Każdy trzylatek wożony do przedszkola tramwajem poznaje je wcześniej niż pacierz, bo brzęczą mu koło uszu bezustannie. Każdy kilkulatek towarzysząc mamie w kolejkach poznaje je we wszystkich gramatycznych figurach, każdy nastolatek (poza paroma zapóźnionymi) ma je w użyciu.

Do zapóźnionych należy Wasz zawsze wierny, ale nie zawsze umiejący dotrzymać kroku wielu swym czytelnikom „Świat Młodych". Ileż niepotrzebnego gadulstwa w tej gazecie. Ileż słów rozmaitych. No, ile? Policzmy. W jednym numerze pisma mieści się 40 stron maszynopisu. Jedna strona zawiera 1800 znaków graficznych – liter, kropek, przecinków itp. W całym numerze jest ich więc 72000. Jeśli założymy, że przeciętny wyraz składa się z 6 liter, to jeden egzemplarz „Świata Młodych" składa się z 12000 wyrazów. A wystarczyłoby parę wspomnianych słów uniwersalnych. I to oznaczonych pierwszą literą i wielokropkiem, bo za drukowanie ich w pełnym brzmieniu stanęlibyśmy przed sądem pod zarzutem demoralizacji młodzieży. Koń by się uśmiał. Ale mnie nie tak skoro do śmiechu, kiedy pomyślę, jak prędko posuwamy się w odwrocie do jaskiń. Mnie nie spieszno. Mnie się tam w ogóle nie chce wracać. A Wam?

Warto to przemyśleć z samym sobą. A może i z samym sobą załatwić?

EWA DROBNIK

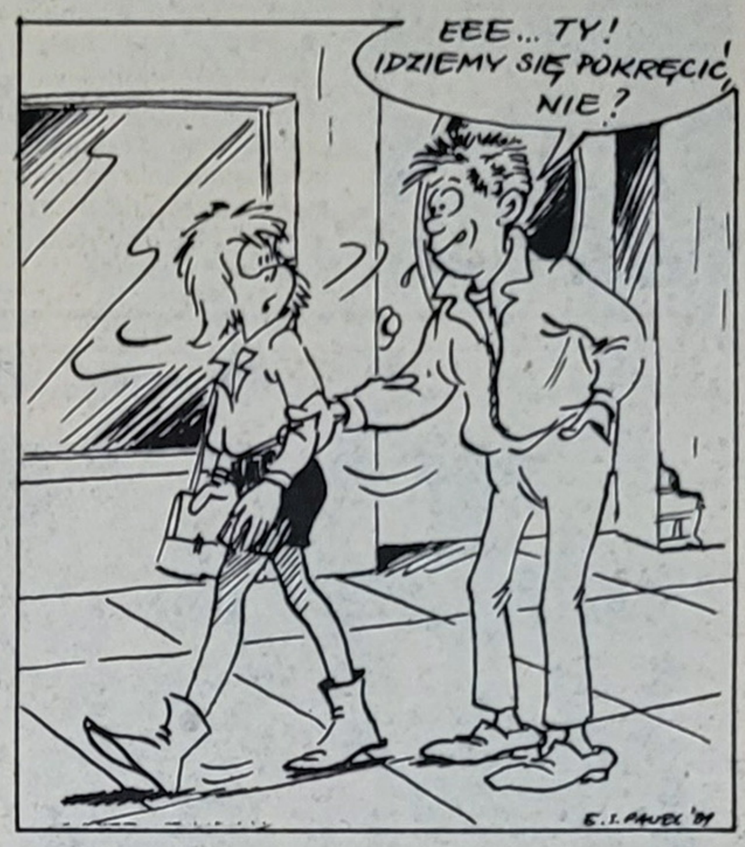

SPRAWA Z PIERWSZYCH STRON GAZET

Jak zawsze w poniedziałki, także i tego dnia – 22 sierpnia 1911 roku Luwr był niedostępny dla zwiedzających. Ze 120 pracujących normalnie przez cały tydzień dozorców pozostało około 15. Oni to obchodzili wielki kompleks muzealny, składający się z niezliczonej liczby salonów i saloników, galerii, schodów, krużganków, magazynów i strychów... To fakt – niełatwo było im „mieć na oku" te 220 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni wystawowej, ale przecież za dnia żaden śmiałek nie odważyłby się tu zakraść... A w nocy Luwr był pilnowany przez uzbrojonych strażników. W newralgicznych punktach ustawiono ponadto stałe posterunki mające ze sobą łączność telefoniczną. Nic złego więc stać się nie mogło...

I rzeczywiście – noc minęła spokojnie. Jednak we wtorek rano...

Pracownicy muzeum, którzy jak co dzień weszli do salonu Carré – stanęli jak wryci... Mieli wrażenie, że ziemia usuwa im się spod nóg... Miejsce, gdzie znajdował się wspaniały obraz pędzla Leonarda da Vinci „Mona Lisa"... to miejsce było puste!!!

Fakt tak zuchwałej kradzieży arcydzieła wywołał szok w całej Francji. W trybie natychmiastowym zwolniono dyrektora muzeum, przełożonych strażników, a także dozorców mających w swej pieczy obraz wielkiego da Vinci. Opinia publiczna nie mogła pogodzić się z brutalną prawdą, więc może dlatego za dobrą monetę wzięła pierwszą oficjalną wersję organów ścigania utrzymujących, że zniknięcie „Mony Lisy" to sprawka któregoś z francuskich dzienników goniących za popularnością. Że był to ot, taki sobie kiepski żart zrobiony po to, by zwiększyć nakład gazety...

Och, gdybyż to była prawda – wzdychali ci, którzy obawiali się czegoś gorszego. Przecież kradzieży mógł dokonać osobnik zbiegły z zakładu psychiatrycznego, żyjący urojeniami romansu z Moną Lisą. Takie rzeczy się zdarzają... A jeśli tak, to obraz może być narażony na zniszczenie...

Policja czekała aż do 24 sierpnia, licząc na szczęśliwe rozwiązanie sprawy. Niestety, fakty okazały się nieubłagane: „Mona Lisa" nie odnalazła się. Rozpoczęto więc zakrojone na wielką skalę śledztwo. Jego kierownictwo przejął osobiście szef policji kryminalnej – Hamard.

Lecz kiedy ten na pierwszym spotkaniu u prefekta Lepiène'a relacjonował dotychczasowe wyniki śledztwa – okazało się, że sprawa właściwie nie posunęła się naprzód. Oględziny miejsca przestępstwa wykazały całkowity brak śladów. Jak wynika z akt sprawy, w czasie dość bezładnie i mało energicznie prowadzonego śledztwa, przesłuchano i sprawdzono masę osób. Ustalono jednego, wiarygodnego świadka, ale... jak się później okazało – właściwie tego faktu nie wykorzystano. Po ponownych oględzinach Luwru policja znalazła w jednej z bocznych klatek renesansową ramę od obrazu. Zarówno rama, jak i tkwiąca w niej szyba były w stanie nienaruszonym. Na szkle ujawniono ślady linii papilarnych... To byłby właściwy trop... Ale Alfons Bertillon – specjalista kryminolog zajmujący się sprawą kradzieży obrazu – nie wierzył w daktyloskopię i zaniedbywał zdejmowania odcisków palców. Stosował inną metodę: wykorzystując osiągnięcia antropologii, w prowadzonej przez siebie kartotece dokładnie notował wymiary przestępców, co miało mu pomóc w ustaleniu sprawcy, gdyby okazał się nim któryś z zarejestrowanych poprzednio włamywaczy.

Przesłuchania 250 osób personelu Luwru nie dały żadnych rezultatów. I choć policja szczelnie obstawiła granice, ówczesne szlaki komunikacyjne, dworce, porty, przeszukała statki pocztowe, skontrolowała wszystkie zakłady i szpitale dla psychicznie chorych, choć sprawdziła łącznie 1000 osób – to jednak „Mony Lisy" nie odnaleziono. Śledztwo utknęło w martwym punkcie...

Kto wie, czy całej sprawy nie rozwiązano by bardzo szybko, gdyby nie błędy, które wynikały ze zwyczajnej niesumienności w wykonywaniu obowiązków...

Bo oto pewnego dnia policja była

o krok od sukcesu...

Inspektor Paul Pichegru został przydzielony do grupy sprawdzającej wszystkich pracowników Luwru. Prawdę mówiąc – miał już dość tego zadania: od kilkunastu dni wędrował w najodleglejsze zakątki miasta, przeszukiwał kolejne mieszkania. I na dodatek szef wciąż był niezadowolony z rezultatów jego pracy.

Dziś, w to mgliste i mokre popołudnie Pichegru najchętniej siedziałby w domu, a nie gonił po jakiejś zaśmieconej uliczce... Uf, wreszcie dotarł do celu. Tu, na poddaszu obdrapanej kamieniczki mieszka malarz-dekorator z Luwru – Włoch Vincenzo Peruggia...

– *Otwierać! Policja!* – inspektor załomotał ze złością w drzwi. Wewnątrz panowała głucha cisza, lecz po chwili coś tam zaszurało i rozległy się powolne, człapiące kroki. Zachrobotał zamek... Na progu stanął szczupły mężczyzna z ciemnym wąsikiem. W chwilę później podał inspektorowi swój paszport. Wolał nie zaczynać z francuską policją. I tak już kiedyś miał z nią do czynienia... Pichegru tymczasem rozglądał się po pokoju. Poza krzesłem i żelaznym łóżkiem znajdował się tu jedynie dzbanek z wodą i cynowa miednica stojąca na taborecie. Inspektor przeszedł od drzwi do ściany jakby bez celu... Peruggia, wyraźnie wystraszony, wodził niespokojnym wzrokiem za chodzącym. Trzęsącymi się rękami zapiął wytarty surdut...

– *Santa Madonna!* – myślał – *jeśli zajrzy pod łóżko, jestem zgubiony. Czemu zostawiłem tam walizkę!*

Lecz Paul Pichegru, członek specjalnej brygady policyjnej pod owe nieszczęsne łóżko ani myślał zaglądać. Nie wiedział, że gdyby to zrobił, jego kariera potoczyłaby się wartko, a honor francuskich służb kryminalnych byłby ocalony.

Bo właśnie w tym zniszczonym kuferku o podwójnym dnie, owinięty nieprzemakalnym papierem i lnianymi taśmami, spoczywał portret Mony Lisy... Tym razem przypadek okazał się być sprzymierzeńcem złodzieja, którego szukały tysiące ludzi...

Po dwudziestu miesiącach

od chwili sensacyjnej kradzieży, sprawa zniknięcia „pani del Giocondo" zeszła z pierwszych, na drugie i trzecie strony gazet, aż wkrótce zniknęła z łamów wielkich dzienników.

Policja uznała się za pokonaną, a Francja pogodziła z faktem, że najcenniejszy skarb z jej zbiorów sztuki przepadł na zawsze. Lecz...

W grudniu 1913 roku znany florencki marszand Alfredo Geri ogłosił, że na licytację, którą ma zamiar przeprowadzić, poszukuje nowych, mało znanych dzieł dawnych mistrzów. Do Geriego napłynęło wiele ofert, w tym jedna, która go rozśmieszyła... Oto niejaki Leonardi proponował mu obraz skradziony z Luwru. Marszand początkowo nie myślał traktować tego poważnie, ale w końcu przystał na propozycję tajemniczego właściciela dzieła sztuki: postanowił spotkać się z nim i obejrzeć oferowany do sprzedaży obraz.

W wyznaczonym terminie Geri wraz ze znajomym profesorem – Giovannim Poggi – dyrektorem wielkiej włoskiej galerii, udali się do małego hotelu „Tripoli – Italia". Mieli ze sobą pół miliona franków, jakich żądał Leonardi... Na trzecim piętrze, w skromnie umeblowanym pokoju oczekiwał ich mały, ciemnowłosy mężczyzna z czarnym wąsikiem. Kiedy przystąpiono do transakcji, gospodarz wyciągnął spod łóżka niewielką walizkę i z podwójnego dna wyjął obraz...

Obaj znawcy sztuki doznali niezwykłego uczucia: mieli przed sobą „Monę Lisę"!!! Poggi wziął delikatnie portret do ręki i stwierdził, że na odwrocie widnieje pieczęć Luwru i numer katalogowy. Niewiarygodne! A jednak.... Jak teraz zabrać złodziejowi

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

„PTASIE TAJEMNICE" po radomsku

DLACZEGO KACZKA SIĘ KIWA?

Zaproszenie brzmiało skromnie i niezbyt zachęcająco. „Ptasie tajemnice" – wystawa ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Radomiu i „Afirmacja różnorodności" – pokaz fotografii przyrodniczej. Cóż... Ta „wystawa ze zbiorów" – to pewna kolejna kolekcja zakurzonych wypchanych ptaków, plansz, pożółkłych foliałów, przypominających zasługi badaczy z minionej epoki. Zaś „afirmacja różnorodności"? Wiadomo, że przyroda jest różnorodna, zatem pod tak ogólnym hasłem pewnie obejrzymy kolejną wystawę stereotypowych zdjęć, jakich mnóstwo wykonują setki zapaleńców. Tak sobie pomyślałem, szykując się jednak do odwiedzenia radomskiego muzeum i licząc na przeżycia może przyjemne i pożyteczne, ale raczej dość banalne.

Tymczasem w muzealnych salach pełne zaskoczenie! A owszem, są wypchane ptaki, wypreparowane jajka, zdjęcia. Ale jest jeszcze coś. Jest pomysł, który z tej wystawy uczynił – moim zdaniem – jedną z najlepszych ekspozycji przyrodniczych, jakie można było dotąd oglądać w naszym kraju.

Wchodzimy do pierwszej sali i oto jakbyśmy znaleźli się w... lesie.

Przed nami wybujała, rozczochrana sosna, a na niej **gniazdo bielika**. Gniazdo naturalnych rozmiarów i tak starannie uwite, jakby to rzeczywiście orzeł je uwił, a nie ludzie urządzający wystawę. Dopiero na tym gnieździe widzimy kukłę wypchanego bielika. W przeciwnym kącie, na drugim drzewie – **orzeł przedni**.

Już pierwszy rzut oka na wystawę pokazuje więc, że **ptaki będziemy tu oglądać na tle środowiska, w którym żyją**. Oto przed nami fragment najprawdziwszego trzcinowiska, z którego wyzierają postacie **bąka, wodnika**, a w którym widać też kilka typowych dla tego biotopu gniazd. Obok – **turzycowisko z kulikiem wielkim**, wysiadującym gniazdo na jednej z kęp. A z przeciwnej strony sali – ni mniej ni więcej tylko **fragment dzikiej plaży wiślanej**. Najprawdziwszy piach, na nim kamyki, muszelki, trawy, zeschłe, naniesione przez wodę gałęzie. Wśród nich siedzi na gnieździe **kaczka krzyżówka**. Na piasku liczne **gniazda: sieweczek, rybitw, mew**. I one

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Autorzy listu wraz ze swoją Panią, teraz już czwartoklasiści...

Ważne dla nas wydarzenie

Droga Redakcjo! Bardzo lubimy czytać Waszą gazetę i dlatego proponujemy poinformować czytelników „Świata Młodych" o ważnym wydarzeniu z życia naszej szkoły. Otóż 21 czerwca **Szkoła Podstawowa nr 324 w Warszawie otrzymała imię Wojciecha Jastrzębowskiego** – profesora Akademii Sztuk Pięknych, grafika, malarza, stolarza, architekta wnętrz. Prof. Jastrzębowski zawsze pamiętał w swojej pracy o najmłodszych, chciał tworzyć „ład wokół nas". Uczniowie naszej klasy wykonywali różne prace plastyczne, korzystając z pomysłów Profesora. Przygotowaliśmy stemple z ziemniaków, prace graficzne wykonane za pomocą sznurka, tapety, kawałków tkaniny, cudaki z drewna, lalki w strojach ludowych, naczynia z plasteliny, wycinanki z kolorowego papieru. Wszystkich zachęcamy do naśladowania, a redakcję zapraszamy do obejrzenia placówki, w której dbamy o ład i porządek.

OD REDAKCJI: Dziękujemy za list oraz zaproszenie i przepraszamy, że nie mogliśmy z niego skorzystać, ale o całym tym ważnym dla szkoły wydarzeniu dowiedzieliśmy się już po terminie. Życzymy Wam wytrwałości i powodzenia w naśladowaniu twórczych pasji Profesora.

SPRAWA PIERWSZYCH STRON GAZET

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

obraz w sposób nie wzbudzający żadnych podejrzeń? Z udaną obojętnością, starając się opanować, Poggi najpierw spojrzał na skamieniałego z wrażenia marszanda, a potem zwrócił się do Leonardiego: – *Jeśli pan pozwoli, wezmę obraz do swej pracowni w Uffizi, aby zbadać płótno i przekonać się o jego autentyczności.*

Ku zdziwieniu Poggiego, sprzedający zawinął obraz w czerwony aksamit i wręczył go profesorowi... Z uczuciem ogromnej ulgi Geri i Poggi opuścili hotel. „Mona Lisa" była uratowana!

Dlaczego ukradł?

W czasie śledztwa Vincenzo Peruggia tak wyjaśniał motywy swego czynu: *„Często stawałem przed portretem Mony Lisy, w którym znajduje świetny wyraz nasza piękna, niedościgniona sztuka włoska. Odczuwałem upokorzenie na myśl, że obraz ten wywieziono z naszego kraju jako zdobycz wojenną i muszę to arcydzieło oglądać na francuskiej ziemi. Obrażał mnie fakt, że obraz ten przysparza chwały Francji. Pewnego dnia, gdy stałem przed obrazem, obudziła się we mnie myśl, że zwrócenie Włochom tego arcydzieła byłoby pięknym czynem. Kradzież obrazu nie mogła nastręczyć żadnych trudności, gdyż w Luwrze nie było bynajmniej surowego nadzoru.(...) Bezcenne malowidło było w moim posiadaniu dwa i pół roku i strzegłem go jak prawdziwej świętości. (...) Próby sprzedania płótna były zbyt niebezpieczne i wkrótce przestałem o nich myśleć. Potem jednak przestano się zajmować „Moną Lisą". Mogłem pomyśleć o oddaniu arcydzieła mojej ojczyźnie, nie tylko dla korzyści materialnych, ale także po to, aby cywilizacja i świat sztuki mogły podziwiać słynne malowidło".* I to było wszystko, co Peruggia miał do powiedzenia lub raczej – co chciał powiedzieć. W czasie procesu, znany psychiatra Ameldi określił oskarżonego jako *„niebezpiecznego wariata, który nie jest całkowicie odpowiedzialny za swe czyny"*. Może dlatego sąd skazał Peruggia jedynie na rok i 15 dni pozbawienia wolności. Mimo tak łagodnego wyroku Peruggia odwołał się i – ku zaskoczeniu – sąd rewizyjny obniżył mu karę do 7 miesięcy więzienia, zaliczając na jej poczet areszt śledczy. Sprawca został więc wkrótce uwolniony.

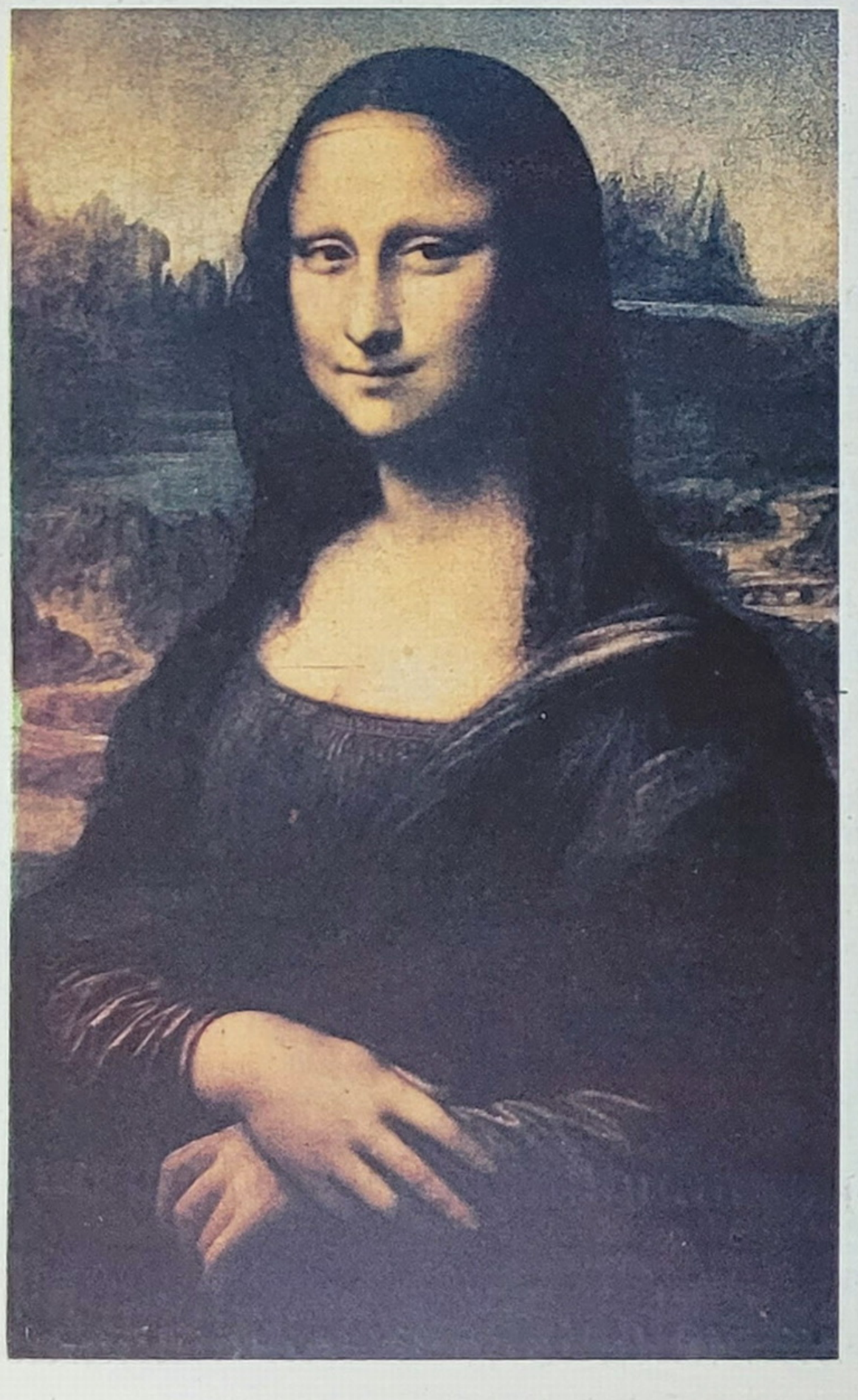

★ ★ ★

Największa, a zarazem najgłośniejsza z dotychczasowych kradzieży stanowiła „wielki początek" tego, co nastąpiło później i trwa do dziś. Po zniknięciu „Mony Lisy" z Luwru, po raz pierwszy w dziejach kryminalistyki użyto określenia *„kradzież dzieł sztuki"*. Termin ten wszedł już na stałe do terminologii fachowej, na szpalty wszystkich gazet i czasopism na świecie. Bo, niestety, grabież dzieł sztuki, a czasami też ich bezmyślne niszczenie (np. gnieźnieński przypadek kradzieży, a potem przetopienia srebrnych elementów z relikwiarza św. Wojciecha) jest zjawiskiem bardzo częstym w naszych czasach. Stanowczo za częstym...

Opr. **IWONA STARZYŃSKA**

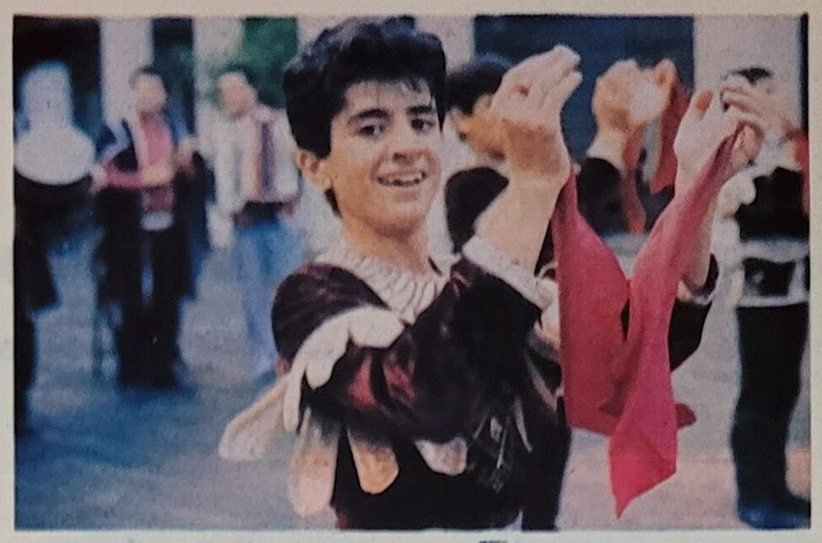

TANECZNE PODZIĘKOWANIE

Dawno już Teatr na Wyspie w warszawskich Łazienkach nie podejmował takich gości. Przyjechali w ormiańskich strojach ludowych i przywieźli ze sobą instrumenty muzyczne o egzotycznie brzmiących nazwach: „kamańcza", „dyhoł", „duduk".

„Ornamenty Armenii" to dziecięcy zespół taneczny działający od 15 już lat w Centrum Wychowania Estetycznego w Erewaniu. Jest znany i bardzo lubiany w Związku Radzieckim. Nie ma republiki w ZSRR, której „Ornamenty Armenii" nie odwiedziłyby przynajmniej dwa razy. Zespół występował również na deskach zagranicznych: we Włoszech i na Węgrzech.

– Występy w Polsce – jak powiedział nam kierownik artystyczny pan Awet Wartanijan – zapoczątkowują całą serię koncertów zagranicznych w krajach, które okazały Armenii pomoc i wsparcie po trzęsieniu ziemi. Tańcząc chcielibyśmy podziękować wszystkim ludziom, którzy przejęli się ogromną tragedią naszego narodu. Jesteśmy gotowi zatańczyć wszędzie, gdzie nam zaproponują, choćby w fabryce, w parku, na ulicy...

W Polsce odwiedzili trzy miasta: Kraków, Łódź i Warszawę. Występowali przede wszystkim w szkołach i domach kultury. Najmłodszy „ornamencik Armenii", 9-letnia Tereza Grebenijan, żaliła się trochę, że Polska przywitała ich takim chłodem i ulewnymi deszczami, że nasz kraj wydał jej się okropnie brzydki. Kiedy jednak zaświeciło słońce, zrozumiała, jak bardzo się myliła. – Szczególnie Kraków i Warszawa są pięknymi miastami. Tyle tu zabytków, muzeów i... doskonałe lody.

Egzotyczne ormiańskie melodie zwabiły do Teatru na Wyspie dziesiątki niedzielnych spacerowiczów, zajmujących się głównie dokarmianiem ciastkami i tak tłustych już dzikich kaczek i wypatrywaniem w mętnej wodzie łazienkowskich karpi wielkości małych wielorybów. Szkoda tylko, że nikt z organizatorów nie zadbał o reklamę programu, a choćby o przedstawienie zespołu publiczności. Większość widzów nie wiedziała nawet, kim są i skąd przyjechali mali artyści. A najbardziej szkoda, że tajemnicą pozostała piękna idea ich występu...

J. ZDANOWSKA
Fot. **Jacek Łopuszyński**

Zielono mi (209)

O JESIENNYM SADZENIU DRZEW I KRZEWÓW – ciąg dalszy

Pamiętam, że za moich młodych lat mówiło się na wsi: – *Po cóż ja będę sadził drzewa owocowe? Czy ja doczekam plonów? Może dopiero moje dzieci...* Od tej pory zanotowaliśmy taki postęp, że drzewa owocowe zdolne są do owocowania już w drugim roku po posadzeniu. Znam sadowników, którzy mają rezultaty jeszcze lepsze. Latem tego roku zbierali oni jabłka z jabłoni sadzonych jesienią 1988 roku, czyli już w pierwszym roku życia drzew w sadzie.

Wczesne owocowanie drzew zawdzięczamy nowym odmianom, podkładkom i odpowiedniej pielęgnacji. Przypomnę, że podkładką nazywamy tę część drzewa, na której szczepi się odmianę uprawną. Podkładka tworzy część podziemną drzewa, odmiana – część nadziemną czyli pień i koronę. Odmiany jabłoni i grusz można szczepić na podkładkach karłowych lub półkarłowych, by uzyskać drzewa małe i wcześnie owocujące. Do ogródków przydomowych, działkowych i szkolnych najlepsze są jabłonie karłowe szczepione na podkładkach M 9 i P 22 oraz grusze szczepione na pigwie. Niewiele gorsze są jabłonie szczepione na podkładce półkarłowej M 26. Drzewa karłowe dorastają do 2 m wysokości i 2 m średnicy, a drzewa półkarłowe do 3 m wysokości i 3 m średnicy. Jeśli drzewa te sadzimy w rządku, to karłowe nie rzadziej niż co 2 m, a półkarłowe co 3 m. Można nawet posadzić gęściej, gdyż rozrastanie się koron na boki można ograniczać przez cięcie.

W ogródku, jeśli jest miejsce, warto mieć odmian kilka, które dojrzewając stopniowo dostarczają owoców przez całe lato i jesień. Do ogródków polecane są inne odmiany niż do sadów towarowych. Powinny one być odporne na choroby, aby nie wymagały opryskiwania. Najlepsze odmiany jabłoni i grusz do ogródka są następujące.

Jabłka letnie	Jabłka jesienne	Jabłka zimowe
Papierówka	Prima	Spartan
Primula	Priam	Jonatan
James Grieve	Freedom	Jonagold
Lired	Antonówka	Golden Delicious
	Koksa Pomarańczowa	
	Faworytka (Klapsa)	Salisbury
	Trewinka	Józefinka
	Bonkreta Williamsa	Komisówka

Gruszki wczesne	Gruszki późne
Lipcówka kolorowa	Konferencja

Nie mamy jeszcze w szkółkach karłowych śliw i czereśni. Sadząc śliwy musimy się liczyć z tym, że ich korony osiągają szerokość 3-4 m i podobną wysokość. Rozmiary koron śliw można jednak ograniczyć łatwo przez cięcie pędów wykonywane latem. Ostatecznie jedna śliwa nie zajmuje więcej jak 3x3 m. Czereśnia zajmie dużo więcej miejsca, bo 4x4, a nawet 5x5 m. Do ogródka najlepsze są następujące odmiany.

Śliwy renklody i inne	Śliwy Węgierki
Ruth Gerstetter	Węgierka Łowicka
Fryga	Węgierka Wczesna
Opal	Stanley
Renkloda Ulena	Anna Späth
Renkloda Althana	

Czereśnie wczesne	Czereśnie późne
Riversa Wczesna	Hedelfińska
Rivan	Kunzego
Bladoróżowa	Lotka Trzebnicka
	Bütnera Czerwona

Z wiśniami jest mniej kłopotu, gdyż polecane obecnie odmiany tworzą bardzo małe drzewa owocujące już od drugiego roku. Drzewa te zajmują powierzchnię o wymiarach 2x2 lub 3x3 m. Polecane odmiany **wiśni:**

Łutówka	Kelleris	Węgierka Groniasta
North Star	Szklanka Wczesna	

Brzoskwinie, podobnie jak wiśnie tworzą małe drzewa. Sadzimy je w miejscu zacisznym i ciepłym. Najlepsze odmiany są następujące:

Royalvee	Uspich	Siewka Jeżykowska
Meredith	Reliance	Siewka Rakoniewicka
Redhavem	Kijowska Wczesna	

AUGUSTYN MIKA

ZIELONA POCZTA

Otrzymałem dwa listy z zapytaniem, jak skłonić ananas uprawiany w doniczce do kwitnienia i owocowania. Jeśli roślina jest dobrze wyrośnięta, to może zakwitnąć i zaowocować w domu, na oknie. Na wiosnę w kwietniu należy ją opryskać roztworem hormonu roślinnego o nazwie **Pomonit**. Preparat ten sprzedawany jest w sklepach ogrodniczych do użytku sadowników. Do opryskiwania trzeba przygotować roztwór rozcieńczony, dając zaledwie około 1 cm^3 Pomonitu na 10 l wody. Opryskać trzeba roślinę obficie.

(am)

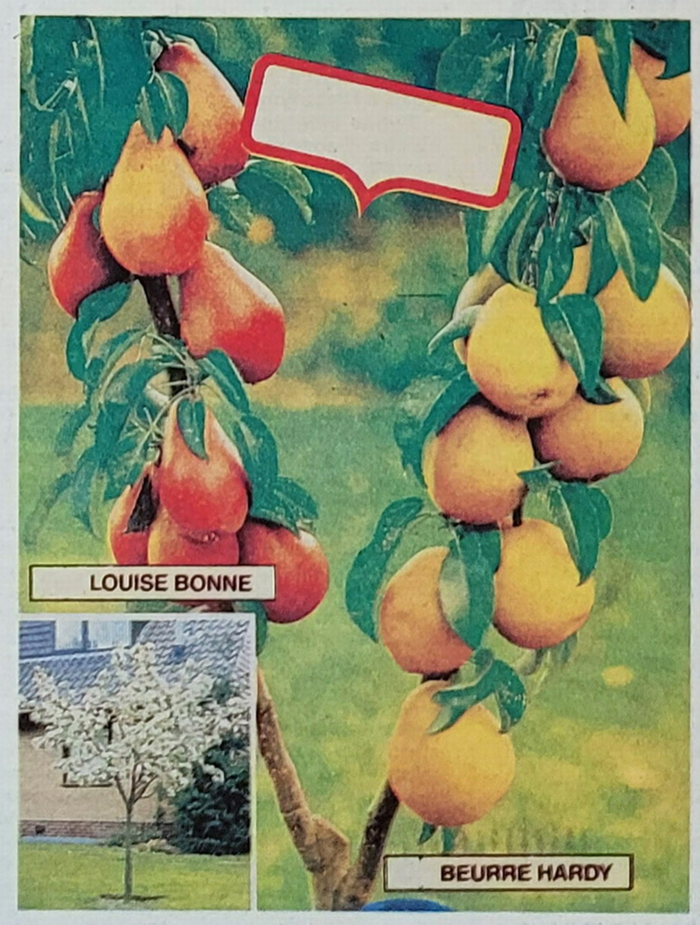

Dwie odmiany gruszek na jednym pniu

AŁTAJ '89

symboliczna wyprawa wodniaków

W Górnym Ałtaju (azjatycka część ZSRR), na burzliwej rzece Czui, jednym z dopływów Katunia, odbyły się międzynarodowe zawody w turystyce wodnej (spływ na tratwach, kajakach, katamaranach), w których wzięli udział reprezentanci Australii, Wielkiej Brytanii, Zambii, Włoch, Kanady, Kostaryki, Nepalu, Nowej Zelandii, USA, Francji, RFN, Czechosłowacji. Gospodarzami byli wodniacy ze Związku Radzieckiego. Współuczestniczący w spływie przedstawiciele wielu narodów musieli sobie pomagać w najtrudniejszych sytuacjach, jakie przed nimi stanęły, gdy usadowili się na swoich tratwach. Nie ich poglądy polityczne, wyznanie czy inne różnice były istotne, lecz to, by przetrwać w sytuacji, gdy życie zależy od współdziałania. Taką wspólną łodzią jest Ziemia ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie jej zagrażają, z zanieczyszczeniami środowiska naturalnego, groźbą katastrofy atomowej, głodem itp.

Marzeniem ludzi jest świat bez konfliktów. Międzynarodowe wyprawy niebezpieczną rzeką są symbolicznym spełnieniem tego marzenia. Postanowiono, że tego rodzaju spływy pokojowe odbędą się i w przyszłości, także na rzekach Ameryki. **(ag)**

Wakacje minęły! Jeśli nadal nie wiesz co ze sobą zrobić - pomożemy Ci

Zespół Szkół Budowlanych
KOMBINATU BUDOWLANEGO

W Katowicach - Dąbrówce Małej
ul. Techników 7

JESZCZE PRZYJMUJE UCZNIÓW do klas pierwszych w zawodach budowlanych i elektryczno-mechanicznych.
KATOWICE - to czołówka ekstraklasy piłkarskiej, zoo i wesołe miasteczko z niezliczonymi atrakcjami, koncerty gwiazd muzyki młodzieżowej, kina, teatry, kluby wideo i dyskoteki...
Zdecyduj się podjąć u nas naukę, a gwarantujemy Ci zdobycie kwalifikacji zawodowych, wysokie wynagrodzenie, a w perspektywie wyjazd do pracy za granicę i własne mieszkanie.

ŚLĄSK CZEKA NA CIEBIE.

OK/277

Sportowcy, o których się mówi

DZIEWCZYNA O STALOWYM RAMIENIU

W Niemieckiej Republice Demokratycznej niemal każdego roku pojawia się cała rzesza uzdolnionej młodzieży, która podbija stadiony świata. Przed dwunastoma laty objawiła się utalentowana oszczepniczka Petra Felke (na zdjęciu). Podczas mistrzostw Europy juniorów wywalczyła srebrny medal, rozpoczynając piękną i bogatą w trofea karierę sportową.

Petra trafiła na lekkoatletyczne boisko w wieku dwunastu lat. Niezwykle sprawna, gibka i skoczna dziewczyna od razu wpadła w oko trenerom konkurencji wielobojowych, którzy namówili ją do uprawiania najpierw trójboju, a następnie pięcioboju. Petra z powodzeniem startowała w spartakiadach młodzieży, wykazując się dużą wszechstronnością i ogromnymi możliwościami, szczególnie w konkurencjach rzutowych. Może zostałaby kiedyś mistrzynią wielobojów, gdyby nie słabsze wyniki w biegach na dłuższych dystansach. Imponowała siłą, skocznością, szybkością, jednak wytrzymałość biegowa była jej słabszą stroną. Dobre wyniki w rzutach sprawiły, że postanowiła spróbować swych sił w oszczepie. Rezultaty w nowej konkurencji przerosły oczekiwania trenerów i jej samej. W krótkim czasie zawodniczka została mistrzynią kraju juniorów i zdobyła srebrny medal na mistrzostwach kontynentu. Nie miała wątpliwości, że wybór dyscypliny był trafny.

Szybkie i olśniewające sukcesy w kategorii juniorów nie potwierdziły się od razu w gronie seniorów. Lekkoatletkę trapiły liczne kontuzje, które nie pozwoliły jej zaprezentować pełni talentu. W latach 1977-1980 poprawiła swój rekord życiowy zaledwie o 1 metr, ale już rok później doprowadziła do granicy 66,60 m. Na największe sukcesy musiała jednak poczekać. Przełomowym w karierze był rok 1984. Zwycięża w licznych międzynarodowych zawodach, regularnie rzuca poza „zaczarowaną" do niedawna granicę 70 m. Jak wiadomo, ekipa NRD, podobnie jak kilku innych krajów, nie startowała w igrzyskach olimpijskich w Los Angeles, jednak na meczu ośmiu potęg lekkoatletycznych w Tokio Petra zdecydowanie pokonała wszystkie najlepsze oszczepniczki świata, w tym mistrzynię olimpijską Angielkę Tessę Sanderson. Przed zawodniczką otworzyła się wielka, międzynarodowa kariera.

W kolejnych latach niedoszła wieloboistka wygrywa w licznych zawodach, jednak na najważniejszych imprezach minimalnie ulega innej gwieździe światowego oszczepu - Brytyjce Fatimie Whitbread. Tak było na mistrzostwach Europy w Stuttgarcie (1986) i na mistrzostwach świata w Rzymie (1987). W obu tych startach wywalcza „tylko" srebrny medal, chociaż w tym czasie wynikiem 78,90 m poprawia rekord świata. Prawdziwy rewanż za te porażki ma miejsce w Seulu. Petra jest bezkonkurencyjna. Zdobywa upragnione olimpijskie złoto i przy okazji ustanawia rekord olimpijski. Sezon 1988 kończy jednak jeszcze wspanialszym osiągnięciem. Jako pierwsza kobieta na świecie posyła oszczep poza granicę 80 metrów.

Poza sportem drugą miłością dziewczyny „o żelaznym ramieniu" - jak ją nazywają dziennikarze - są zwierzęta. Już w dzieciństwie miała w domu cały zwierzyniec: myszy, chomiki, papugi, szpaki, padalce, koty i psy. Każdą wolną chwilę spędzała ze swoimi podopiecznymi i każdy wyjazd na zawody wywoływał mieszane uczucia. Po prostu tęskniła za ulubieńcami, powierzając troskliwą nad nimi opiekę rodzicom. Dzięki sportowi zwiedziła cały niemal świat, poznała mnóstwo przyjaciół, z którymi bardzo chętnie koresponduje. Lubi także książki i muzykę rozrywkową, chociaż na te ostatnie przyjemności zostaje niewiele czasu.

Niedawno Petra Felke skończyła 30 lat. Dla sportsmenki to sporo, jednak wspaniała oszczepniczka nie zamierza jeszcze kończyć bogatej kariery. Na lekkoatletycznym trójmeczu Włochy - NRD - Czechosłowacja uzyskała najlepszy tegoroczny wynik na świecie (76,88 m) udowadniając wszystkim, że nie wiek, lecz sportowa klasa się liczy. Ambitna zawodniczka postanowiła dotrwać jeszcze do dwóch ważnych imprez: mistrzostw świata w 1991 roku i olimpiady 1992. Jeśli nie przytrafi się jej jakaś ciężka kontuzja, to możemy być pewni, że jeszcze nieraz ujrzymy znakomitą miotaczkę na najwyższym stopniu podium.

ANDRZEJ BACZYŃSKI
Fot. **archiwum**

12

MARIA BOROWA

OGRODY

- Nie... - Marysia jest nieczuła na złośliwość. Nie odbiera jej. - Takim aniołem w szopce. A Halina drugim (dla Marysi jest oczywiste, że wiem, o kogo chodzi). I ja wyszłam na scenę, i już mam mówić, patrzę, a Haliny nie ma. To się odkręcam i czekam. A jej się złamało skrzydło i nie przyszła. Czekałam i czekałam, i nie mogłam przedstawiać. I ludzie myśleli, że się pomyliłam, zapomniałam co i jak. A to nieprawda, tylko przez Halinę. Wcale nie ja... - mówi z wyrzutem.

- To krzywda - przyświadczam. - Niełądnie.

- No. Niesprawiedliwie. A ja umiałam wszystko - wszyściutko. Jeszcze pamiętam. Powiedzieć? To było tak... - oblizuje wargi.

Marysia jest aniołem ze złamanym skrzydłem. Przez pomyłkę przydarzyło się to wcześniej jakiejś Halinie. Uśmiecham się do Marysi - wreszcie - i odchodzę do siebie. Czuję się spokojna i odprężona, jakbym była w ogrodzie za parkiem i przemyślała wszystko, co miałam do przemyślenia. Patrzę więc na Marysię z wdzięcznością.

- Cieszę się, że byłyśmy razem - mówię.

- No. Ja też - spieszy mi naprzeciw Marysia.

Nazajutrz siostra Eleonora nie dostrzega mnie (potrafi jednak się gniewać), a ja spędzam dzień na tarasie. Czas wolny, po zabiegach, zajęciach, gimnastyce, obiedzie, śnie-drzemce regenerującej, przed kolacją... Obserwuję i jestem obserwowana. Zaaklimatyzowałaś się już? - pyta ostrożnie Iwona. - A ty? - odrzucam ostro pytanie. Iwona jest zmieszana, nie mówi nic i za chwilę zostaję sama. I skreślam taras z rozkładu dnia. Mam korytarz i kąt sali (ten własny, z łóżkiem), ale i to nie na długo - w „rozkładzie jazdy", jak nazywają grafik operacji, nadchodzi moja kolej. Miejsce leżące zapewnione - dodaje mi otuchy doktor Niejudym.

Byłam zmęczona, Nata. Chciałam nie myśleć. Bolało i siostra Eleonora - jest dobra i wspaniałomyślna - zapomniała, że się do mnie nie odzywa. Byłam chyba niezupełnie w formie, bo Iwona dzwoniła raz czy dwa w nocy po kogoś tam, a rano, gdy się obudziłam, siedziała przy mnie.

- Zaaklimatyzowałam się, naprawdę - powiedziałam.

Uśmiechnęła się.

Teraz ja byłam zmieszana.

- To dzień dobry - prychnęła jak kot. I siedziała dalej.

Byłaś i ty, Nata, przy mnie. Ale mówię o Piotrze. Nie? Poczekaj. Ja... chyba jeszcze nie mogę.

Do ogrodu zawiozła mnie siostra Eleonora w sobotę po śniadaniu. Nie mogłam mieć żadnego zabiegu ani ćwiczeń, czekał na mnie długi, pusty dzień i wiedziałam o tym. W nocy znów płakałam w poduszkę i dusiłam się w jej puchowym mdłym gorącu, zapachu taniego proszku do prania, myślami i żalem nad sobą. Poduszka była obca, niedomowa jak łóżko Marysi, i nie chciałam się zastanawiać nad tym, komu służyła przede mną. Czasem o takich rzeczach się myśli, Nata, i nie jest się pewnym, czy nadzieja znaczy to samo co prawda.

Chciałam do ciebie, do domu, do uścisku twojej ręki. Obecności kogoś, kogo kocham. Żeby być blisko i móc płakać głośno, bez wstydu, długo, bez duszenia się i udawania, że wszystko w porządku. A może w domu wcale nie potrzeba by było łez?

Rano nie jadłam śniadania, dyżurna siostra spoglądała spod oka i nuciła świszcząco pod nosem. Iwona też miała zły dzień. Milczała, a czerwona kreska na tabliczce przy jej łóżku łagodnie, ale jednak, posunęła się w górę. Zamiast wstać, odwróciłyśmy się do siebie plecami i udawały, że właśnie teraz mamy ochotę na drzemkę. Leniwa jest rzeka... Żadnych zajęć na sobotę nie przewidziano, można było údawać. Usypiałam chyba, gdy Iwona wrzasnęła „nie, do diabła!" - i zadzwoniła jak na alarm. Na korytarzu trzasnęły drzwi, zastukały drewniaki, szarpnięto klamką. Wpadły we dwie - dyżurna i Eleonora, ta zadyszana, bez tchu, naprawdę zaniepokojona.

- Nic... - wychrypiała Iwona. - Stęskniłyśmy się. I tak tu cicho. - Skrzek, jaki z siebie wyrzuciła, miał przypominać wesołość.

- Aaa... - ułożyła wargi jak do wejścia w solówkę oratorium siostra dyżurna.

- Dziękuję, siostro. - Eleonora stała na środku sali z nogą wysuniętą do przodu, podana w tył, w dziwacznej i niewygodnej pozie. - Ja się tym zajmę.

- Chyba że... - siostra dyżurna spojrzała na nas z niechęcią i naganą. Wyszła, głośno zamykając drzwi.

Milczałyśmy.

Mijały sekundy, potem minuty, nie można było dłużej czekać, aż któraś pierwsza z nas przemówi.

- Ja... - powiedziałyśmy wszystkie trzy naraz. I roześmiałyśmy się z ulgą.

- Marsz z betów - rozkazała szorstko siostra Eleonora. - Monice się nie dziwię, królewna Grymasela, ale ty, Iwona? No, jazda. Zawołać Jarkę czy same się wygrzebiecie? Monika?...- zawiesiła głos.

Musiała mi pomóc trochę, a potem siedziałyśmy z Iwoną pod czymś zielonym i cienistym w parku, to coś brzęczało owadzio, pachniało i szumiało gadatliwie, patrzyłyśmy, wąchały i nie odzywały się. Było tak sobie, ale lepiej niż w nocy i rano.

- Jak dobrze, że lato jest zielone. Wyobrażasz sobie niebieskie albo wiecznie czerwone liście, trawę, niebo, te drzewa... i cały park, i dom? Koszmar. Nie zniosłabym tego i zaczęłabym wyć.

Iwona spogląda w głąb parku z uwagą, jakby w obawie, że zmieni on barwę z kojącej chłodnej zieleni w intensywny niepokój i drażniącą ostrość cynobru.

- Kołujemy tam? - pokazuje boczną aleję. Beata i Mate kiwają do nas. Rynio wciśnięty w kąt tarasu, z twarzą zwróconą w stronę pawilonu D, gwiżdże przyzywająco.

- To machanie i gwizd to altruizm - mruczy Iwona. - Spytam Ryśka, jak mu idzie - roześmiała się prawie wesoło. - A ty, Monika, co wybierasz?

- Podjadę pod mur - zdecydowałam nagle. - Daleko i wrażenie podróży.

- Czerwony! - odęła usta Iwona. - Dasz radę? Jak uważasz... A mówiłam, głosuj na zieleń, ale to twoja sprawa. Prawda siostro?

Cdn.

„PTASIE TAJEMNICE" po radomsku

DLACZEGO KACZKA SIĘ KIWA?

CIĄG DALSZY ZE STR. 4-5

wyglądają, jakby zbudowały je same ptaki, a nie ludzie, choć są to przecież atrapy. Gdzie indziej znów z autentycznej dziupli w pniu przydźwiganego na wystawę drzewa wychyla się **sowa**...

A zatem – zamiast kolekcji ptaków pokazano nam tu kolekcję biotopów? Oj, nie tylko!

Popatrzmy bowiem na tytuły kolejnych działów wystawy. Każdy ilustruje jakieś etologiczne lub ekologiczne zagadnienie, związane z ptasim życiem. **„Ptaki lęgowe", „Goście z bliska i z daleka", „Do czego służą dziób i nogi", „Do czego potrzebne są skrzydła i ogon", „Barwy ochronne", „Barwy godowe", „Dźwięki", „Gniazda"**. Oto tylko niektóre tematy, których zresztą nie namnożono zbyt wiele... Organizatorzy piszą wszakże, że *„na wystawie jest przedstawiony zaledwie niewielki fragment skrzydlatego świata"*.

Do czego więc służą dziób i nogi? Ano, zaraz widzimy, do czego. Wystawione tu ptaki są tak dobrane, że pokazują różne funkcje dzioba. Czego zaś nie zobaczymy dzięki eksponatom, to pokażą nam fotogramy. Nie widziałem jeszcze, by na naszych wystawach eksponowano zdjęcia w tak przemyślany sposób. W sumie możemy szybko przypomnieć sobie, że ptasi dziób służyć może do chwytania i rozdrabniania pożywienia, do toalety, transportu pokarmu, przenoszenia przedmiotów, do walki, ale też do nadawania optycznych sygnałów ostrzegawczych.

W podobny sposób zilustrowano tu inne, trudniejsze zagadnienia – np. zależność ubarwienia ptaka od środowiska. Oto stoją obok siebie **słonka** i **lelek kozodój** – ptaki, które trudno dostrzec w naturze równocześnie. Tutaj jednak od razu zauważamy, że choć pod względem pokrewieństwa bardzo odległe, są łudząco podobne pod względem barw i – że się tak wyrażę – graficznego rozwiązania upierzenia. To skutek przebywania w podobnym środowisku, jakim jest powierzchnia leśnej ściółki, i podobnego trybu życia. Wspomniane już turzycowisko z kulikiem oraz trzcinowisko z bąkiem i wodnikiem pokazywały właśnie, jak doskonale ptaki umieją się schować w swym środowisku dzięki barwom ochronnym. W naturze niełatwo to zobaczyć, bo po prostu, dzięki temu właśnie mechanizmowi, ptaki często nie są widoczne...

Dział „Głosy i barwy". Gramofon i głośnik. A czyżby więc oklepana seria ptasich śpiewów? Nie, skąd! Na gramofonie unikatowa węgierska płyta, zawierająca analizę dźwiękową głosów ptasich, nagranych z różną prędkością. Dzwoneczek **sikory bogatki**, odpowiednio spowolniony, ujawnia swą przedziwną strukturę; niektóre składające się nań dźwięki brzmią teraz np. jak... gama grana na puzonie!

Pokaz na wystawie jest podparty teorią, a jakże... Oto przed nami na ścianie estetyczna drewniana tabliczka, zawieszona na zawiaskach. Na niej wyrzeźbione pytanie: **Dlaczego bocianów czarnych jest znacznie mniej niż białych?** Chcesz wiedzieć – podnieś tabliczkę, pod spodem ukaże się odpowiedź! **Dlaczego przybywa kruków i dziwonii? Dlaczego kaczka się kiwa? Czy ptakom marzną nogi zimą?** – to inne spośród wielu pytań.

Zwiedzanie wystawy jest więc dobrą, pouczającą zabawą. I zachęcającą do terenowej zabawy „w ptaki". W odrębnych działach zaprezentowano formy pomocy ptakom i metody ich obserwacji. Są tu więc wszelkie możliwe skrzynki lęgowe, karmniki, pojniki. Jest autentyczny namiot obserwacyjny z pełnym „umeblowaniem" w środku, jest zwierciadełko do nagrywania głosów i uchwyt do aparatu fotograficznego...

Obejrzałeś wystawę? To teraz **weź udział w błyskawicznym konkursie**. Sprawdzisz, czego się nauczyłeś. Organizatorzy wyłożyli formularz z konkursowymi pytaniami i łamigłówkami i zapowiedzieli nagrody. Przykład zagadki – obok. Uruchomili też skrzynkę kontaktową z zachętą: *Chcesz z nami współpracować? Podaj swój adres – skontaktujemy się z tobą...* Podajemy i my ten adres: ***„Klub Ornitologów Ziemi Radomskiej i Północnej Kielecczyzny", Muzeum Okręgowe, ul. Nowotki 12, 26-600 Radom, tel. 221-14.***

Myślę, że wystawa jest doskonała i nowoczesna, bo: ● **odchodzi w pokazywaniu natury od kolekcjonerskiej sztampy, przedstawiając nam ją nie jako zbiór gatunków, ale jako mnogość zjawisk i eksponując związki ptaków ze środowiskiem,** ● **zachęca do aktywnego zwiedzania – można tu zdobywać wiedzę, zarazem się bawiąc** ● **wykorzystuje zdjęcia, robione często przez amatorów – dotąd leżały one nieraz w szufladach** ● **zachęca do robienia zdjęć pokazujących życie ptaków i ich związki ze środowiskiem, a nie tylko same ptaki** ● **wprost namawia, by to wszystko zobaczyć w plenerze.**

Ci, którzy w tym plenerze bywają stale, zaprezentowali swoje osiągnięcia w dziedzinie fotografii przyrodniczej piętro wyżej, na wystawie **„Afirmacja różnorodności"**. Organizatorzy zaprosili do udziału w niej kogo tylko mogli. Okazuje się, że zdjęcia przyrodnicze robi dziś wielu ludzi. Wystawa była o tyle ciekawa, że przedstawiono też – w osobnej sali – liczne zdjęcia zmarłego 10 lat temu naszego mistrza – **Włodzimierza Puchalskiego**. Nigdy chyba jeszcze nie pokazano obok siebie dzieł tego nauczyciela polskich fotografów przyrody i jego wychowanków. Tu uczyniono to. Muszę przyznać, że zdjęcia Włodzimierza Puchalskiego pod wieloma względami różnią się od zdjęć jego często bardzo młodych następców. Na czym polega różnica? Ano, sami zobaczcie!

Chcę zachęcić do odwiedzenia tej wystawy. Organizatorzy starali się tu zgromadzić to, co najlepsze – przykładem obecność zdjęć Puchalskiego, prezentacja bardzo cenionego przez ornitologów zbioru jaj ptasich zebranych przez **Leopolda Pomarnackiego** – radomskiego nestora ornitologów i myśliwych, czy pojawienie się wspomnianej już węgierskiej płyty, będącej poszukiwanym unikatem. Takich rodzynków jest tu więcej.

Inicjator całej sprawy, radomski ornitolog **Przemysław Nawrocki** mówi, że od ośmiu lat myślał o takiej ekspozycji, stopniowo dobierał odpowiednie eksponaty, zdjęcia. Samą wystawę robił wraz z silną grupą współpracowników. Aranżacja plastyczna jest dziełem **Mirosława Kołsuta**, ostateczne opracowanie (liternictwo, oprawa zdjęć) – **Małgorzaty Charko i Moniki Zahorskiej.** Zaś konsultantem był **Wojciech Twardowski** – nie biolog, ale... archeolog i śpiewak kabaretowy, który – jak twierdzi Przemek – wniósł wiele świeżości i niekonwencjonalnego spojrzenia do koncepcji wystawy. No i dobrze... Radzę wszystkim kołom LOP, klubom ornitologicznym, drużynom harcerskim, zainteresowanym ekologią indywidualnym ptakolubom – zajrzyjcie do Radomia w październiku lub listopadzie, kiedy to wystawa będzie jeszcze trwać. Zachęcam do jej obejrzenia zwłaszcza tych wszystkich, którzy mają coś wspólnego z muzealnictwem przyrodniczym, wystawami lub wydawnictwami o tej tematyce. Zobaczą, co trzeba zrobić, **by to co żywe było pokazywane żywo...**

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **Sławomir Wąsik**

Na zdjęciach:

1-3. Jednym z najbardziej dziś znanych wśród radomskich przyrodników fotografów jest Sławomir Wąsik, który przed laty debiutował na naszych łamach jako korespondent Klubu Ptakolubów. Na wystawie zaprezentował wiele zdjęć. Oto niektóre z nich: 1 – orlik krzykliwy ze zdobyczą, 2 – trzmielojad na gnieździe, 3 – jenot

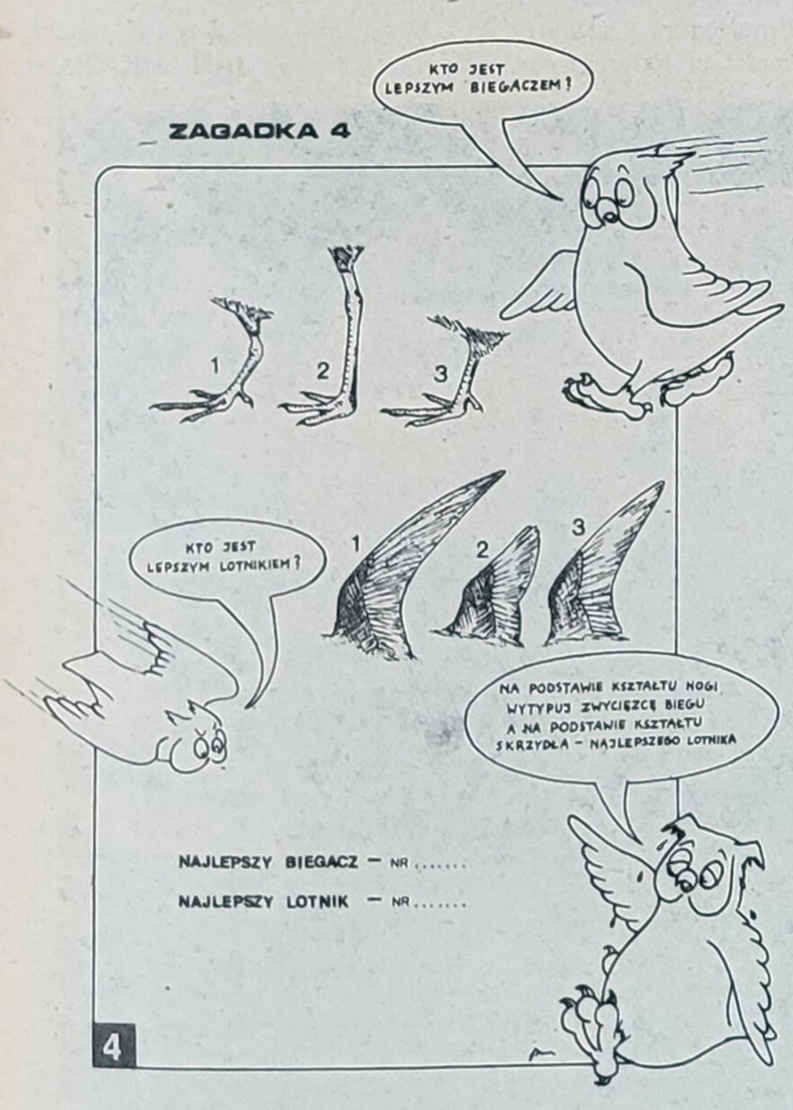

Jedna z konkursowych zagadek – na podstawie kształtu nogi wytypuj zwycięzcę w biegu, a na podstawie kształtu skrzydła – najlepszego lotnika. Spróbujcie odpowiedzieć!

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Małgorzata Szczepańska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 1000 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.
Zam. A-406/89. A-56.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 2821/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 122 (4672)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
W indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

Muzeum, w którym wszystko wolno

LA VILLETTE

To oficjalna nazwa muzeum techniki położonego przy metrze Porte de la Villette. Muzeum zbudowane zostało na przedmieściu Paryżą kosztem 4,5 mld franków. Uroczystego otwarcia ośrodka dokonał 13 III 1986 r. prezydent Francji Francois Mitterrand, o czym informuje tablica pamiątkowa znajdująca się przy wejściu. Pierwotnie w tym miejscu miała powstać wielka rzeźnia, ale dobrze się stało, że władze miasta zrezygnowały z tego projektu. Zadowoleni są mieszkańcy, bo nie grozi im uciążliwa wytwórnia, i dzieci, które masowo odwiedzają to niezwykłe miejsce...

La Villette, mimo iż oficjalnie nosi nazwę muzeum techniki pomyślane jest jako ośrodek dydaktyczno-rozrywkowy dla dzieci w wieku od 6 do 11 lat. Mogą one tam poprzez zabawy poznawać otaczający ich świat. Coraz więcej przychodzi tutaj też ludzi dorosłych.

Muzeum – o którym bez przesady można powiedzieć, że wkracza w XXI wiek – składa się z 13 działów i dwóch laboratoriów. Obejmuje ono różne dziedziny wiedzy jak np. astronomia, biologia, technika itp.

W dziale mechaniki i techniki rzuca się w oczy bogaty zestaw różnych maszyn i urządzeń, zbudowanych w taki sposób, że można je obejrzeć od środka. Wolno je też dotykać, sprawdzać działanie kręcąc korbami, zaworami itd.

W dziale ekspozycji lotniczej jest stanowisko prób najszybszego samolotu świata. I tutaj wolno nie tylko oglądać, ale także samemu uruchamiać skomplikowane urządzenia, jak również zobaczyć jak komputer koryguje decyzje pilota. Obok każdy może odbyć bezpłatną „podróż kosmiczną", a w dziale matematyki na podstawie prostego urządzenia osobiście sprawdzić twierdzenie Pitagorasa, przesuwając kolorowe płytki.

W ośrodku znajduje się studio telewizyjne ze wszystkimi urządzeniami, jak kamery, magnetowidy, mikrofony, stoły reżyserskie. Dzieciaki czują się tu jak ryby w wodzie. Same reżyserują siedząc za stołem reżyserskim, a także wyświetlają filmy, m.in. „dobranockę". Wszystkie urządzenia, które się tu znajdują, służą tylko do zabawy, ale wykonanie ich w niczym nie różni się od używanych w normalnej działalności profesjonalnej.

Ośrodek operuje trzema podstawowymi elementami:

★ **wodą**, w której dzieją się ciekawe rzeczy z zakresu biologii,

★ **światłem,** które stanowi nie tylko element dekoracyjny, ale dzięki któremu można obserwować różne ciekawe zjawiska z zakresu fizyki,

★ **roślinnością,** tworzącą „zielony most", na którym hoduje się wspaniałe okazy z dziedziny flory.

Wiedza „sączy się" tu z każdego kąta. W przypadku, gdy dzieci nie rozumieją jakiegoś zjawiska, mogą uzyskać dodatkowe informacje w działających laboratoriach. Widziałem, jak fachowy personel demonstrował dzieciom ćwiczenia z zakresu biologii.

Dodatkową atrakcją dla wszystkich zwiedzających ośrodek jest ogromna kula wykonana z metalizowanego szkła, otoczona dookoła wodą, a przedstawiająca naszą planetę – Ziemię. Narysowane są na niej kontury lądów, mórz i oceanów.

W tej oryginalnej budowli mieści się supernowoczesne kino (pełna panorama), gdzie widz ma wrażenie przebywania w samym środku akcji filmu. Obraz filmowy jest nie tylko dookoła człowieka, ale również nad głową, na suficie! Sprawia to niesamowite wrażenie, gdyż film rozgrywa się na wielkich wysokościach: w Himalajach, nad „drapaczami chmur" w Nowym Jorku, albo w krainie lodowców.

Długo można by opowiadać o La Villette – raju dla dzieci. Jeszcze lepiej zobaczyć osobiście, czego życzę miłym Czytelnikom...

Tekst i zdjęcia
JAN ŁUKASIK

Ogólny widok La Villette – na lewo główna hala muzeum

Widok wnętrza budynku, w którym prezentowana jest nowoczesna technika. W górze widać dział kosmonautyki